

MICHAŁ KUSZEWSKI

# BOGINI PAHAADU



ALYN • TOM III

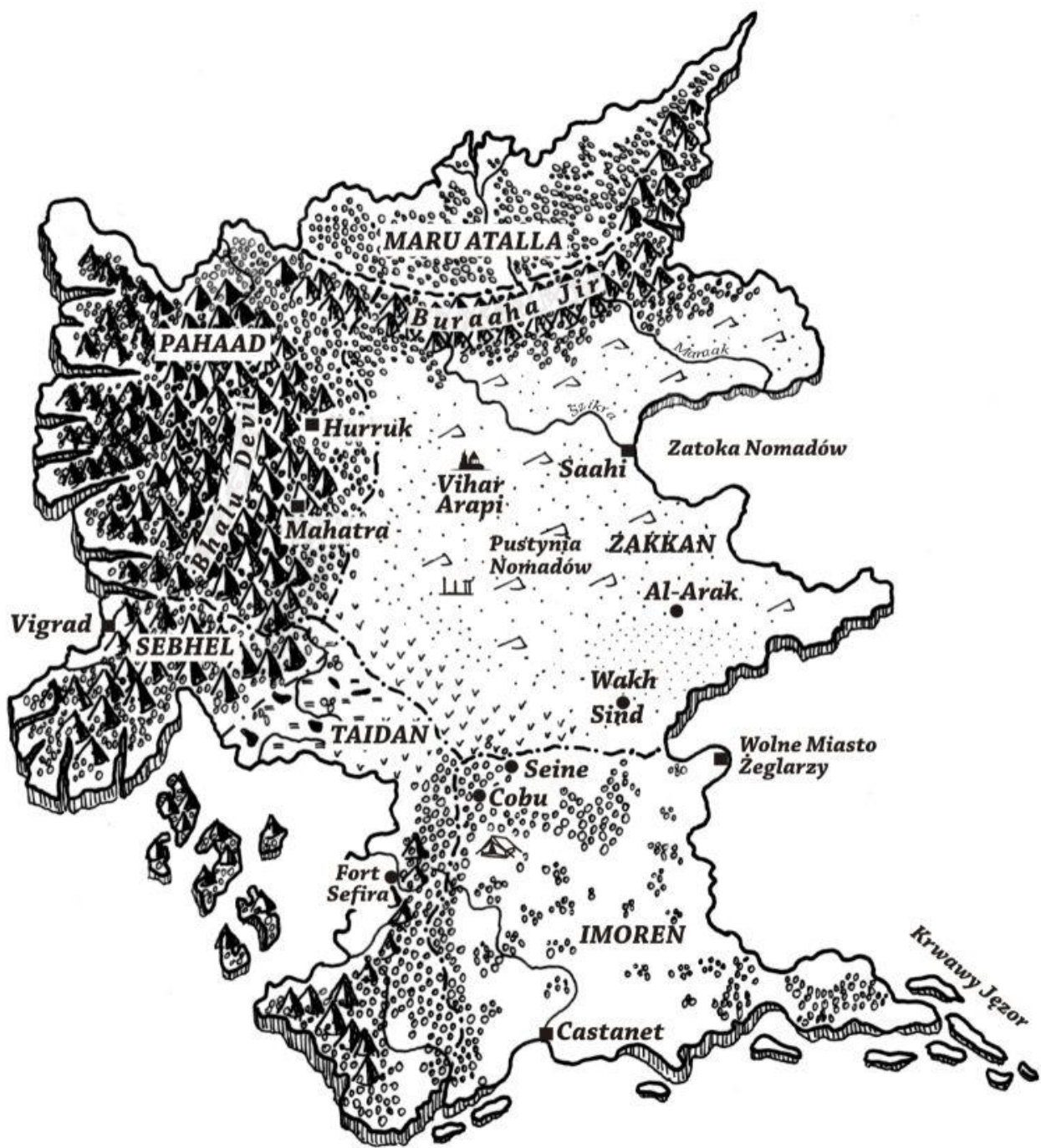
Michał Kuszewski

*Bogini Pahaadu*

[Kup książkę](#)

## SPIS TREŚCI

|                         |   |
|-------------------------|---|
| PROLOG .....            | 3 |
| CZĘŚĆ I.....            | 7 |
| ROZDZIAŁ PIERWSZY ..... | 8 |



*Zbudź się, motylu –  
Późno, całe mile  
Są przed nami.*  
– Bashō (przekł. C. Miłosz)

## PROLOG

Czerń.

Zimna, wilgotna, oślizgła. Wątle ciepło drżącego ciała. I smród.

Nie od razu go poczuła. Wypełniał sobą całą przestrzeń, odbijał się od ścian niczym echo. Powracał falami. Słodki, mdlący, mokry.

W pierwszym odruchu objęła się dłońmi, próbując opanować drżenie. Wyobrażała sobie, że były lepsze rzeczy, które mogły powitać człowieka po tym, gdy obudził się w czarnej nicości. Ale były też gorsze. Powoli, z wahaniem, przesunęła zimne opuszki palców po policzkach, w górę twarzy. Pod powiekami wymacała gałki oczne. Nacisnęła je lekko, aż tuż przed sobą zobaczyła pulsujący jasny kleks. Z ulgą opuściła ręce.

Wzięła kilka głębokich oddechów. Słuchała, jak odgłos powietrza uciekającego z jej zmarzniętych ust wiruje, odbija się od ścian. Była w pomieszczeniu. Niewielkim. Po długiej chwili bezruchu powoli podniosła się i odnalazła stopami chłód ziemi. Zakłuł ją jak szpila, ale pozwolił skoncentrować myśli, ułożyć je w zgrabny stos.

– Halo?

Głos, który rozdrapał powietrze, zmroził ją tak, że instynktownie objęła się jeszcze mocniej i roztarła ramiona, strzepując na ziemię lepką wilgoć. Nie przypominał jej żadnego, który знаła. A przecież wydobył się z jej krtani. To był jej głos.

Myśl pojawiła się w jej głowie natychmiast. Położyć się z powrotem, zamknąć oczy. Zasnąć i obudzić się gdzieś indziej. Jak złudna obietnica bezpieczeństwa. Ciepłe objęcia snu.

– Jest tu kto? – powtórzyła głośniejsze i pewniej.

Jej głos był ochrypły i nieprzyjemny, ale tym razem poniósł w gęste, śmierdzące powietrze odrobinę znanej melodii. Natrętna myśl, niczym odgoniona dłonią mucha, odfrunęła w ciemność.

Stała chwiejnie na nogach i wymacała ścianę. Wykonała wzdłuż niej kilka kroków. Nie czuła palców u stóp. Prawdopodobnie z zimna. Mimo to ruszyła dalej.

Trafiła na dwa prostopadłe załomy, nim twardy chłód pod dłońmi oddał miejsce ziejącej nicości. Smród buchnął z podwójną siłą. W pierwszym odruchu chciała zatkać nos, ale powstrzymała się, gdy zdała sobie sprawę z tego, że jest on jej jedynym przewodnikiem. Wiódł ją, niemalże układając się przed jej oczami w długie, falujące wstęgi. Dokąd?

Do wyjścia.

Do światła.

Kilka lub kilkanaście wykonanych ostrożnie, po omacku, kroków później jej stopa z cichym chlupotem rozgarnęła drobną kałużę. W jednej chwili poczuła przemożne pragnienie, ale odór był tak silny, że wątpiła,

by mogła cokolwiek przełknąć. Jeżeli to w ogóle była woda.

Chwilę później pojawiły się pierwsze halucynacje. Mogła się tego spodziewać, umysł nie radzi sobie zbyt dobrze z odcięciem od podstawowych bodźców, więc tworzy sztuczne. W jej przypadku narysował w ciemności wątlą sylwetkę jej ciała. Nie była w stanie dostrzec niczego wokół, ale przynajmniej mogła zobaczyć siebie samą. W pewnym sensie. Było to lepsze niż nic.

Dwa kroki dalej jej stopa wbiła się w coś miękkiego, wytrącając ją z równowagi. Nie upadła tylko dlatego, że panicznie, z całej siły, zaparła się przedramieniem o ścianę po lewej. Poczuła ból. Prawdziwy, nie z zimna. A potem zgięła się wpół, gdy jej ciało postanowiło pozbyć się zawartości żołądka. Nie było tego wiele.

Dopiero po chwili, gdy splunęła żółcią i otarła z ust długie, lepkie jęzory śliny, zorientowała się, co się stało. To, co leżało na ziemi, to, co poruszyła stopą, wydało z siebie cichy syk, a wraz z nim okolicę zalała fala mdlącego fetoru, przy którym dotychczasowy zapach powietrza wydawał się bryzą na łące. Czym prędzej zabrała się stamtąd i poszła dalej przed siebie.

W czerń i smród.

Nie wiedziała, ile minęło czasu i ile podobnych ohydnych, miękkich pości dotknęła, nim najpierw otworzyła się nad nią rozległa przestrzeń, a potem po raz pierwszy odnalazła drogę wiodącą do góry. Korytarz był stromy, ale wraz z pokonywaniem kolejnych załomów wreszcie zaczęła czuć pierwsze oznaki prawdziwego ciepła. Wokół wciąż panowała cisza, jej jedynym kompanem był miarowy szelest jej stóp dotykających na zmianę szorstkiej skały.

Gdy tuż przed jej nosem wyrosła zaporą, która po pobieżnym zbadaniu dłońmi okazała się zamkniętymi drewnianymi drzwiami, na całym ciele poczuła gęsią skórę.

– Wszystko to jest snem – powiedziała, gdy uświadomiła sobie ten oczywisty fakt.

Jej głos zabrzmiał tak, jak powinien. Melodyjnie, swojsko. Nigdy go nie lubiła, ale teraz przywitała go z ulgą.

– Czas się obudzić.

Pchnęła mocniej i skobel natychmiast ustąpił z trzaskiem, jakby był wykonany z cienkiej, uschniętej gałązki. Skrzydło otwarło się na wewnątrz jakiegoś spowitego w półmroku pokoju.

Jej serce zabiło szybciej. To wciąż był sen. Coś nie pozwalało jej się obudzić.

Podeszła ostrożnie do niewielkiego okienka, przez które do środka wpadało srebrne światło księżyca. Stała w jasnej plamie na podłodze i spojrzała w dół na brudne, sine stopy. Były blade. Nad nimi, ucięte w połowie czarną gilotyną cienia, przeżyły się dwie naprężone łydki.

Chyba coś było nie tak.

Odnalazła drzwi wyjściowe i podeszła do nich. Pojedynczym pchnięciem pozbawiła je zasuw. Echo metalicznego szczęku rozbiegło się po okolicy, ale nie miało to znaczenia. Wyszła na zewnątrz.

Wreszcie wyszła na zewnątrz.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i rozejrzała się po okolicy. Coś jej mówiło, że знаła to miejsce. Widziała je, była w nim. Może w innym śnie. Gromada glinianych chat. Faliste kontury wydm. Srebrzyste pobłyski księżyca odbijającego się w tafli jeziora.

Spojrzała w dół na ciało, które pomogło się jej tu dostać. Jej własne ciało, które na nowo zadrdzało w objęciach nocnego chłodu. Pokręciła głową. Nie zamierzała tracić czasu na szukanie odpowiedzi na cokolwiek. Sny rządziły się własnymi prawami. Podpowiadały, uczyły. Manifestowały najgłębsze pragnienia podświadomości. I nie tłumaczyły, skąd brały się takie słowa, jak „halucynacje”, „bodźce” czy „podświadomość”. Wiodły ku przygodzie. Inspiracji.

Z wbitego obok w ziemię kijaszka ściągnęła płachtę lekkiej, zwiewnej szaty i narzuciła na siebie. Następnie wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać. Okolica spała urywanymi oddechami i cichym pochrapywaniem. Nie wszędzie. Gdzieś daleko zatrzepotały skrzydła. W innym miejscu rozbrzmiały w dyskusji podniesione głosy. Przywiał je lekki wiatr, który następnie zawirował tuż obok niej i zakręcił na ziemi garstką kamyczków.

Ruszyła, jeszcze nieco chwiejnie, w stronę głosów. Wzdłuż wąskiej, ciemnej uliczki, na którą kładły się czarne cienie mieszkalnych kopuł i lasu suszących się ubrań. Sprzeczką, lub czymkolwiek to było, wciąż wydawała się nienaturalnie odległa, ale z każdą chwilą jej odgłosy nasilały się. Mężczyzna i kobieta. I garstka postronnych. W pewnej chwili metal brzęknął o metal, ktoś zakrzyknął.

Nie wiedziała dlaczego, ale przyspieszyła. Kulejąc, przeszła w trucht, potem w bieg. Sen wymagał od niej, by zdążyła, by pojawiła się tam na czas.

Minęła ostatnią chatkę i przebiegła, coraz szybciej i pewniej, wzdłuż niskiego płotka, który ogradzał niewielkie poletko uprawne.

Ferula, podpowiedziała jej znienacka pamięć, która natychmiast na powrót zamknęła się na głucho.

– Ferula – powtórzyła szeptem pomiędzy sapnięciami wypełniającymi zimnym powietrzem jej stęsknione płuca.

Cel był tuż, tuż.

Gdy stanęła w drzwiach oświetlonej kilkoma pochodniami stodoły, było już po wszystkim. Na ziemi, nieruchomo lub w śmiertelnych drgawkach, leżało kilkoro mężczyzn i kobiet. Kałuże krwi, która sączyła się z ich dogorywających ciał, przypomniały jej o wilgoci i smrodzie nieprzebranych ciemności. Odgoniła tę myśl, gdy zauważyła dalej dwie sylwetki pozostałych przy życiu postaci. Jedną z nich był długowłosy mężczyzna, którego wyciągnięta, zakrwawiona szabla celowała w gardło drugiej, skrytej w cieniu. Kontur jej ciała wskazywał na to, że była to niewysoka dziewczyna. Jeszcze chwila i...

– Kim jesteś?!

Głos, który nagle rozbrzmiał, sprawił, że instynktownie cofnęła się i przywarła plecami do ściany. To nie mógł być tamten mężczyzna. Usłyszała to... w głowie.

– Coś ty za jedna?! Kim jesteś?!

– Nie wiem – wyszeptała w odpowiedzi.

Do tej pory odpowiedź na to pytanie wydawała się jej niepotrzebna. Za chwilę miała przecież się obudzić z tego snu. Tam, po drugiej stronie, wszystko było jasne. Tutaj...

– Jak masz na imię?!

Głos był władczy, nie tolerował dyskusji. On też wydawał się jej znajomy.

– Jak masz na imię?!

I wtedy, nagle, przypomniała sobie. Rzadkie górskie powietrze. Lodowe posągi. Słowa wypowiedziane przez wojowniczkę.

I imię.

– Nazywam się...

## CZĘŚĆ I

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*To tylko podróż jest  
Z ciemnych pokoi do  
Ogrodów i ciepłych plaż,  
Wysokich gór i palm.  
– Ślady, Fisz Emade Tworzywo*

*„Ishtar niech to pokara, Alyn. Piszę to czwartego dnia po przybyciu pod mury Hurruk. Mury... palisadę raczej, ale nie ma żartów, tutejsi umieją nagiąć drewno do swej woli nie gorzej niż ojciec i cała jego ciesielska gromadka z Zurykiem na czele. Chata, w której kazali mi czekać, też jest niczego sobie. Grube belki i ani szczeliny między nimi, nawet żdźbła nie wciśniesz. Ale nie mogą tu inaczej, w Pahaadzie. Wieje niemiłosiernie, siostra. Dzień w dzień, noc w noc. Piżdzi złem.*

*Sytuacja ma się tak: gdy stanąłem, ledwo sapiąc, zziąjany do, kurwa, imentu, pod bramą tej tutaj dostojnej miejsciny, przez małe drzwiczki gdzieś hen z boku wyczłapał Dziadyga. Dziadyga ów, wystaw sobie, sięgał mi tak do piersi, i to jak stanął tuż przede mną i nadął się. W dłoni za to – a była ona jak dwie łapy Zakarego, niech mnie grom strzeli, jeśli kłamię – ciągnął za sobą kawał drewna. Najpierw myślałem, że niesie na zewnątrz jakąś dechę spróchniałą, ot nieopodal leżał bowiem roztrzaskany wóz, gnijąc na zimnie od nie wiadomo kiedy. Ale nie. Tak jak stał, przekręcił tylko dłoń, a w niej do pionu uniósł się gruby, sękaty konar, dłuższy od niego samego. Machnął nim jak patykiem tak szybko, że nawet nie zdążyłem odskoczyć. Zawinął mi nim tuż przy nosie.*

*Mam ci jednak wciąż ten Twój ulubiony kinol, na którym zagrałem Ci niejedną pieśń tryumfu i upokorzenia. Ale tylko dlatego, że nie pytając o nic, zrobiłem trzy kroki do tyłu i podążyłem czym prędzej drogą, którą Dziadyga wskazał mi swoim srogim paluchem. Przez trakt, przez łysą halę, aż tu, do tej chatki. Otworzył mi drzwi, wskazał kilka walających się szczap na podłodze i kominek. A potem trzasnął drzwiami i tyle go widziałem. „Ciasne, ale własne”, pomyślałem, bo i tak po tygodniu wdrapywania się na ten nieboski łańcuch i nocowania w norach i dziuplach (w zasadzie to w jednej, kiedyś też Ci o tym opowiem) dach nad głową był jak zbawienie. O dostaniu się za mury... palisadę mogłem pomyśleć później.*

*Skoro minęły cztery dni, to, jak się pewnie domyślasz, wciąż nad tym dumam. I powoli kończy mi się cierpliwość. O tym, że nie jest tak pięknie, jak sobie wyśniłem, przekonałem się jeszcze pierwszego wieczoru, gdy wreszcie udało mi się rozpaść co nieco w kominku. Najpierw coś z piskiem zaczęło drapać cegły w środku, a potem cały ten z trudem wyszurany przeze mnie z drewna dym buchnął mi w pysk i zasnuł całe wnętrze. A było już ciemno. Na szczęście Dziadyga nie zatrzasnął za sobą drzwi (droga wolna, gościu, możesz sobie iść, ale do Hurruk bez mojej zgody i tak nie wejdiesz), więc otwarłem je na oścież, wywietrzyłem swąd, wyiębiłem ściany na kamień i poszedłem spać w chłodzie.*

*Następnego dnia budzę się i kogo widzę? Dziadyga stoi nade mną i trzyma się pod boki. Widzi, że jestem wyziębiony, i tylko się szczerzy tymi swoimi czarnymi dziąslami. To mu pokazuję na migi, że kominek, że dym, że mi coś tam w środku siedzi. I co? Wzruszył ramionami, zostawił mi na stole zawiniątko, które przyniósł, i tyle go widziałem. Potem miało się okazać, że będzie mi tak codziennie przynosił jedzenie. Niewiele tego, zimne i suche, ale przynajmniej dało radę na tym trochę się wzmocnić. Ale bez ciepła ani rusz. Wiesz dobrze, Alyn, że od czasu Kaim chłód mi przyjaciele, no ale ile można? Gdy tegoż drugiego dnia wyszedłem przed południem z chaty, zauważyłem świeży stosik drewna na opał. Nie było rady, musiałem jakoś samodzielnie przeczyścić komin. Okutałem się więc z powrotem we wszystkie warstwy, które na sobie niosłem aż do Pahaadu, i poszedłem szukać lasu. Zrobiłem dwa kroki od chatki i co? I nagle ustał wiatr.*

*A potem zaczęło śnieżyć. Pamiętasz jeszcze tamtą zimę przed wypłynięciem z Rowan? Pamiętasz, jak nieśliśmy Kai przez śnieg do kolan, byle do jakiegoś znachora? Tu padało jeszcze gorzej. W jednej chwili wokół zrobiło się białe, pochowały się kontury, z horyzontu znikły szczyty gór. W taką nieboską pogodę polałem szukać gałęzi do przetkania komina. Była i dobra strona całej tej sytuacji. Tuż pod lasem z lubością wysikałem na polanie podobiznę Dziadygi. I powiem ci, wyszła jak jeden do jednego.*

*Zanim wróciłem, zdążyłem się zgubić w tej bieli, choć na szczęście nie całkowicie. W pewnej chwili wyszedłem na przecinkę, która w jakiś niepojęty sposób przypominała mi trakt, którym szedłem pod Hurruk dwa dni wcześniej. Gdybym nie skojarzył, poszedłbym dalej przed siebie i kto wie, pewnie i byłoby mi wreszcie ciepło w brzuchu jakiegoś stada wilków, które nocami wyją tu, jakby im szczenięta zarzynali. Ale skręciłem, dotarłem znów pod bramę miasta i w ten sposób, późnym popołudniem, wróciłem do domu. Chwilę potem, oczywiście, przestało padać. Wziąłem więc te gałęzie~*

*Oho, chyba na dziś koniec pisania”.*

\*

*„Alyn, mam gościa. Gdy już zbierałem się wczoraj do opisanego Ci moich przepraw z wiewiorem z komina (to zapewne nie jest wiewiór, choćby dlatego, że mógłby w sobie zmieścić trzy rowańskie wiewiory i jeszcze mieć miejsce na następne), usłyszałem na zewnątrz kroki. Moment później otworzyły się drzwi, a przez nie weszły dwie osoby. Z Dziadygą wymieniliśmy tylko skinienia, bośmy przez te kilka dni zdążyli zawiązać jako taką nie niewerbalnego porozumienia. Natomiast obok niego na środku chaty stanął jakiś wielki Pahaad. Był okryty futrem i skulony, najwyraźniej z bólu, ale i tak głową niemal sięgał powały. Na początku myślałem, że przyszli po mnie i będą mnie albo wpuszczać wreszcie do ich dostojnego grodu, albo wygonią i każą wracać, skądem przylazł, psia ich mać. Ale okazało się, że los znowu zagrał krzywo. Bo Dziadyga zaraz zakręcił się na pięcie i wypadł na zewnątrz, a ów woj pahaadzki zaraz padł na kolana przed kominkiem, który z niemalą maestrią rozpalilem wcześniej, i wysunął ku niemu dłoń do ogrzania. I ja tak, wiesz, patrzę na niego, patrzę. No, coś w tym obrazku się nie zgadza, myślę jak głupi. Co zresztą nie było dalekie od prawdy (że byłem głupi), bo parzę tu sobie dużo ichniej herbaty, która, podejrzewam, nosi w tych swoich sproszkowanych suchych listkach nie tylko smak wylizywania chropowatego rynsztoku po suszy, ale też właściwości podobne tym specyfikom, co nam Kai lubiła przynosić czasem spod lady „Szisy nocnej”. Trochę mi zatem zajęło czasu zorientowanie się, że to nie woj, tylko wojownicza grzeje się przy moim ogniu, i że wyciąga ku niemu jedną rękę, bo drugiej po*

prostu nie ma.

*Kobieta w mym domu, dasz wiarę? Tak czy siak, kimkolwiek jest, pewnie znajduje się w podobnej sytuacji co ja. Musieli ją zgarnąć spod bramy i wrzucić tutaj. Jeszcze nie rozgryzłem, czy to forma jakowejś kwarrantanny, czy też tymczasowego lokum przed jakimś rodzajem sądu. Ale chwilowo nie jestem już w tym wszystkim sam. A przynajmniej taką mam nadzieję, bo Pahaadka przespala przed kominkiem całą noc, a potem jeszcze pół dnia po tym, jak zawlekła się pod przeciwną ścianę ode mnie. Gdy się obudziła, wstała, popatrzyła na mnie, potem na zawiniątko z jedzeniem, które zostawiłem na środku w geście, nie wiem, chyba powitalnym. A potem skierowała się ku drzwiom i wyszła na zewnątrz. Może wróci. Mam nadzieję, że wróci. Potrzebuję sojusznika albo przynajmniej kogoś, kto mi będzie potrafił wytłumaczyć moje położenie. Bo na Dziadygę, chyba co do tego sprawa jest jasna, liczyć w tym względzie nie mogę.*

*Dlatego też zacząłem do Ciebie pisać. Nie wiem, czy kiedyś to przeczytasz. W zasadzie wolałbym mieć możliwość opowiedzenia Ci tego wszystkiego na żywo. Ale prawda jest taka, że o ile chłód pomaga mi radzić sobie z chorobą, to – jestem już tego pewien – nie zatrzymuje jej rozwoju. Zresztą popatrz na te kulfony. Zaczynam już na dobre tracić czucie w opuszkach palców i coraz trudniej jest mi utrzymać pióro. I mam wrażenie, że to dopiero początek. I wiesz co, codziennie rozmawiam z Isztar, Dalią i całą resztą bogów tego kontynentu. Proszę ich o zdrowie jak zwykły, śmiertelny entuzjasta zabobonów. Nauczył mnie tego pobyt na Kaim. Zresztą kto jak kto, ale wiem, że Ty mnie zrozumiesz. Spędziłem pół roku u boku jednego boga, więc dlaczego reszta ich miałaby się okazać zmyślona?*

*Cieszę się, że opuściliśmy Rowan wtedy. To zły, pusty i bezduszny kraj. Cokolwiek działo się od momentu, gdy po raz pierwszy postawiliśmy nogę w Zakkanie, było warto. Modlę... Tak, właśnie tak. Modlę się za to, żebyś odnalazła Zakarego, żebyśmy ja znalazł Kai. Tęsknię za Wami dwiema niewypowiedzianie i tylko wieść o tym, że widziano tu Kai, sprawiła, że dotrwałem do tego miejsca i momentu. Chciałbym, żebyśmy się znów zobaczyli wszyscy na Moście Maharadzy. I za to wypiję niniejszym cały kubek parującego tu przede mną zalotnie, rozgrzewającego płynnego gówna. Zdrowie!”*

\*

– Uch... jakie to dobre... – szepnęła Fel i osunęła się na ziemię, szorując plecami po ścianie.

Mimowolnie otarła przedramieniem niesforną kroplę śliny, która zebrała się w kącie jej ust. Płynna błogość już zaczęła zsuwać się leniwie w dół jej przełyku. Westchnęła cicho w oczekiwaniu, a jej wzrok podążył w górę, na sufit, jeszcze wyżej, tuż za powieki. Już za moment narkotyk rozluźni jej ramiona, po czym owinie się delikatnie wokół serca i ściśnie je w ciepłym, matczynym objęciu.

Na początku umieszczenie jej w domu zabitego znachora, na zawsze naznaczonym rozległą plamą jego zaschniętej krwi, wydało jej się okrutną karą. Wyrazem pogardy i upokorzenia, w czym Reynauld wyjątkowo się lubował. Kazał jej zamieszkać w samym środku osiedla ludzi, którzy momentalnie, jakże łatwo, zmienili obiekt swojej czci. „Zniewoleni od pokoleń”, mówił. „Jak zbite psy”.

Mogło być też tak, że byli znacznie bardziej cwani, niż Reynauldowi się wydawało. W każdej chwili mogli wkroczyć szturmem przez lichą kotarkę u wejścia jej nowego domu, rozebrać ją, tak jak im kazano, pozbyć się odzieży, a potem zawlec pod ganek zarekwirowanej przez taidańskiego żołnierza kamiennej chaty,

i na jego oczach poderżnąć jej gardło.

Gdy myślała o tym, gdy scena po scenie, dzień w dzień odgrywała w głowie inscenizację swej kaźni, paraliżował ją strach. Przed bólem. Przed widokiem ulatujących z niej gęstych, szkarłatnych strug życia. Ale chyba przede wszystkim przed świadomością, że on by na to patrzył z oddali. Z wyższością i spokojem.

Że w ogóle by się tym nie przejął.

W końcu ta czule pielęgnowana, kolczasta trwoga zawisła nad nią jak katowskie ostrze. Towarzyszyła jej w każdej chwili nowego życia u boku nowego władcy Al-Arak, pustynnej kolonii Taidanu.

I wtedy wady nowego lokum Fel szybko odeszły w zapomnienie, a na wierzch, dla odmiany, zaczęły wychodzić jego zalety. Konkretniej całe dwie półki zalet zamkniętych w zakorkowanych ceramicznych karafkach. Wystarczył jeden niewielki łyk gęstej, ciepłej słodyczy, by wszystko, co złe i straszne, odleciało w niebo wraz z pustynnym wiatrem. Choćby na kilka chwil.

Nie było Reynaulda.

Nie było tubylców.

Nie było wspomnień, czasu, głodu, żaru dnia.

Nie było Fel...

Tylko powolny, głęboki oddech. Cichy świst wędrującego wte i wewte powietrza. I słowa, które powracały falami. Sennie inkantowały zakłęcie utkane z jej imienia.

– Fel... Fel... Fel...

Nie wiedziała, jak długo szepczące morze dźwięków rozbijało się o piaszczysty brzeg wewnątrz jej głowy. Gdy wreszcie zdała sobie sprawę z tego, że odpływ nie nadejdzie sam, zmarszczyła brwi i wzięła głębszy wdech. Jej usta, sklezione przyjemną niemocą, rozwarły się z trudem na szerokość pojedynczego słowa:

– Nie.

– Tak, Fel. Zapomniałaś. Posłał po ciebie przed południem. Wstawaj.

Zakkanka przełknęła ślinę i jeszcze raz otarła jej resztki ze spierzchniętych ust. Błogość uleciała w niebyt. Po sobie pozostawiła – jak zwykle – uczucie zagubienia i zbyt ciężkie ciało.

– Ikke – stwierdziła Fel, po czym odwróciła głowę w stronę pochylającej się nad nią Taidanki.

Zacisnęła dłoń i poczuła, jak jej palce napotykają znajomą, twardą chropowatość. Kamyki chrupnęły o siebie cicho, przypominając o rzeczywistości.

– Daj mi chwilę.

– Dam ci tysiąc. – Imoreński blondynki pobrzmiwał taidańską melodią i silnym akcentem. Było to na swój sposób urocze. – Reynauld jednakże...

– Tak – westchnęła Fel. – Tak, chodźmy.

Zebrała się w sobie, wstała i wyszła w południowy żar z zamkniętymi oczami, ale i tak od jasności zakręciło się jej w głowie. Musiała podeprzeć się, by nie upaść. Ikke ze swoją roztrzepaną aureolą jasnych włosów obejrzała się tylko, idąc przodem. Nie miała dziś dla niej cierpliwości.

Na tyle, na ile mogła, Fel odnalazła pion i uważnie podążyła śladem Taidanki. Uniosła wysoko głowę i dopiero wtedy rozejrzała się po okolicy. Tak jak cała reszta mieszkających wokół ludzi, bała się. Ale oni mieli łatwiej. Jej nie było wolno tego okazać.

Patrzyli na nią. Wszyscy z nielicznej garstki tubylców, która pozostawała poza schronieniem swych kamiennych dachów, jak na zawołanie przerywali, cokolwiek robili, i wbijali w nią swe wielkie, białe oczy. Obserwowali z tym swoim pustym wyrazem twarzy. „Patrzemy na ciebie, żebyś nas zauważyła”, zdawali się mówić. „Żebyś zobaczyła, co nam uczynił twój biały człowiek z włosami jak czarny wodospad”.

Spśród wszystkich tych obcych dusz tylko jedna rodzina, kobieta w średnim wieku i jej trójka dzieci, uśmiechała się do niej. Było tak od samego początku, od kiedy po raz drugi, tym razem na stałe, przekroczyła próg domostwa znachora oazy. I to bez względu na to, co dosłownie chwilę później wymusił na mieszkańcach Al-Arak Reynauld, gdy krwawo przypieczętował objęcie przez siebie rządów.

Ale dziś nie było ich w pobliżu. Ani kobiety, ani jej potomstwa. Tylko puste spojrzenia. Zaciśnięte usta. I żar. Dziewczyna mimochodem lustrowała biel palącego żywym ogniem nieba w poszukiwaniu ciemnego punkciku krążącej nad oazą Ifiko. Od kiedy zamieszkała w domu znachora, niemal całkowicie przestała widywać swojego cudowronka. Ptak wciąż kręcił się w okolicy, znalazł tu dla siebie dom i sposób na przetrwanie. W tubylcach wzbudzał zaciekawienie i podziw. Ale już nie lądował na jej ramieniu. Już nie świergotał jej nad uchem.

Nie był „jej”.

Reynauld ulokował się w najwyżej położonym domostwie oazy. Wgryzało się w nagą skałę, która jako jedyna, wydawało się, była w stanie przeciwstawić się naporowi wiecznie poruszających się wokół Al-Arak wydm. Droga nie była stroma, ale długa i nierówna. U jej końca Fel czuła, że zgrzebna szmata, którą okryte było jej ciało przed słońcem, dokładnie, na całej długości, przylega do jej skóry.

Czekał na nie. Oparty łokciami o barierkę, tuż na skraju cienia rzucanego przez daszek pokryty palmowymi liśćmi. Jego blada skóra zaczerwieniła się przez ostatnie dni, ale jej kolor wciąż stanowił uderzający kontrast wobec ciał wszystkich innych mieszkańców oazy. Nawet blondwłosej Ikke bliżej było wyglądem do ludzi pustyni dzięki zdrowej, brązowej opaleniznie.

Gdy stanęły przed nim, Reynauld wykonał nieokreślony gest w stronę porucznik, która odsalutowała mu. Następnie rzuciła Fel łagodne spojrzenie, weszła po schodach i zniknęła w czarnym otworze wejściowym za jego plecami. Zakkanka przestąpiła z nogi na nogę, oczekując dalszych gestów lub słów ze strony Taidan-czyka, który patrzył na nią z nieodgadnionym, cokolwiek znudzonym wyrazem twarzy. Nagle z tej samej czeluści, w której zniknęła Ikke, wypadła młoda dziewczyna o krótkich, kręconych włosach i bez słowa, ze spuszczoną głową potruchtała tuż obok Fel w dół ścieżki. Wzrok Zakkanki czujnie omiótł hebanową skórę półnagiej niewiasty w poszukiwaniu siniaków lub innych uszkodzeń. Zauważywszy to, Reynauld uśmiechnął się półgębkiem.

– Spóźniłaś się – oznajmił, po czym pociągnął z manierki głęboki haust. Kilka kropel pociekło w dół jego rzadkiej brody i przepadło na zawsze w spragnionych deskach tarasu.

Fel odwzajemniła uśmiech. Narkotyk wciąż falował lekko w jej żyłach, nadawał wszystkiemu żywszych barw, pobudzał zapachem pieprzu i wanilii. Mimowolnie oblizała usta.

– A może jestem za wcześnie?

Reynauld wyprostował się, pochwycił niewidoczny wcześniej, oparty o barierkę gruby kij i ruszył w jej stronę.

– Nie, Felicio. Tak jak śliczna Yaré, nigdy więcej nie będziesz kazała mi na siebie czekać.

Gdy ją mijał, dziewczyna mimowolnie spięła wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na... W zasadzie nie wiedziała co. Od kiedy pojawił się w Al-Arak i pokonał w pojedynku Gaela, Taidńczyk nie wykazywał żadnych chęci, by znów zapraszać ją do siebie na naukę dyscypliny. Nie przestał tego robić całkowicie – miał wszak pod ręką całą wieś młodych, prostych dziewcząt jak właśnie Yaré, córkę jednego z tutejszych farmerów. Ale jej już nie chciał. I nie była pewna, co o tym myśleć.

– Powiedziałem, nie każ mi na siebie czekać!

Warknięcie Reynaulda wytrąciło ją z zamyślenia. Odwróciła się na pięcie i szybkim marszem podążyła za mężczyzną z powrotem w dół ścieżki.

Szli w milczeniu i było jej to na rękę. To najlepsze, na co mogła liczyć w jej położeniu. U jego boku była bezpieczna przed mieszkańcami oazy, nie musiała się też obawiać niczego z jego strony. Zawieszona pośrodku dwóch pozostających w napięciu sił, które kiedyś musiały się w końcu zetrzeć, miała swoją spokojną niszę. Swoją... oazę.

Uśmiechnęła się do tej myśli. Zdążyła zarejestrować, że Reynauld natychmiast zauważył zmianę na jej twarzy. Następne, co poczuła, to uderzenie, które dosięgło jej brzucha, wydusiło oddech z jej płuc i powaliło na kolana. Dopiero za chwilę, gdy krztusząc się, walczyła o powietrze, pojawił się ból. Skrawkiem świadomości, przez łzy, zauważyła, że dłonie, którymi natychmiast się objęła, lepią się od gęstej, czerwonej mazi.

– To tylko olej – usłyszała poprzez dzwonienie w uszach.

Reynauld przyklęknął tuż przy niej i przez chwilę z uwagą oglądał końcówkę kija, obracając go w dłoni. W końcu skierował wzrok na nią.

– Zechcesz mi powiedzieć, co takiego zajmującego chodzi po twojej głowie podczas służby? – zapytał. Nawet, gdyby chciała, Fel nie była w stanie nabrać choćby pół oddechu, by mu odszczeknąć. I on dobrze o tym wiedział. – Bo jeżeli nie zdajesz sobie z tego sprawy, czas to naprostować, żołnierzu. Jesteś na służbie Taidanu. Zaciężnej, bo zaciężnej, ale jednak. Podlegasz mi jako przełożonemu i realizujesz narzucone ci zadania najlepiej, jak tylko potrafisz. W zamian możesz cieszyć się przywilejami, jakich nie ma pozostała część mieszkańców tej kolonii. Masz dach nad głową i prawo noszenia wierzchniego stroju na tułowi. A to, co ci obiecałem po powrocie do Taidanu, wciąż jest jeszcze w mocy. Skoro nie jesteś na tyle głupia, by spróbować dezercji, jak ten twój, tfu, imoreński bohater, Felicjo, rób swoje. Do niczego innego i tak się nie nadajesz.

Mężczyzna wziął głęboki oddech i wyprostował się.

– Przemyśl to – powiedział, rozglądając się po niebie. – Czekam przy tunelu. Ale niedługo. Już wystarczająco dużo czasu straciłem przez ciebie.

I odszedł.

Fel bezwiednie otarła dłonie o uda, na których rozprowadziła szerokie, czerwone smugi. Gdy odzyskała władzę nad oddechem, podniosła się z klęcek na drżące nogi i sięgnęła do kieszeni po kamyki. Natychmiast zaczęła obracać je w dłoni. Rozejrzała się.

Wokół, z twarzy, które obserwowały całe zdarzenie, bombardowały ją puste spojrzenia tubylców. Wśród nich była również dziewczyna, która jeszcze przed kilkoma chwilami wybiegła z domu Reynaulda. Po wstydzie i upokorzeniu nie było w jej oczach nawet śladu.

Fel poprawiła ubranie i ruszyła przed siebie. Choć chciała, tępy ból pod żebrami nie pozwalał jej wyprostować się w dumnym marszu. Akurat kiedy były jej potrzebne, resztki specyfiku znachora uleciały z jej organizmu w spalone, wiszące nieruchomo nad kotlinką oazy powietrze. Zaciśnęła szczękę, by powstrzymać nadciągający atak szlochu. Odetchnęła głęboko na tyle, na ile pozwoliły jej wciąż zaskoczone uderzeniem płuca.

Ile dni minęło, od kiedy myślała o Gaelu? Ile czasu, od kiedy w zimnych, ciemnych czeluściach korytarzy pod oazą ostatni raz widziała Alyn?

Alyn poradziłyby sobie z Reynauldem raz-dwa. Wiedziałyby, co zrobić.

*Bogini Pahaadu*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-954475-1-8

© Michał Kuszewski 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autora.

REDAKCJA i KOREKTA: Anna Raguza

OKŁADKA: Michał Kuszewski

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

[www.michalkuszewski.pl](http://www.michalkuszewski.pl)

[www.facebook.com/enkizm](https://www.facebook.com/enkizm)

[kontakt@michalkuszewski.pl](mailto:kontakt@michalkuszewski.pl)